

Reprezentować stary uniwersytet

Celem uniwersytetu nie jest czysta wolność – jakaś zeświecczona forma Królestwa Bożego na ziemi, ale budowanie cywilizacji. „Stary uniwersytet” budował cywilizację chrześcijańską, dostarczał jej intelektualnego *modus vivendi* a ludziom pracującym na tej niwie odpowiednich sprawności, czyli cnót oraz formuł, czyli wiedzy o świecie – przypominamy tekst Tomasza Rowińskiego

Czy ktoś z nas może jeszcze powiedzieć, że uczestniczył w doświadczeniu rzeczywistego uniwersytetu? Tego, który jest wspólnotą poznania, wiedzy i wiary, który nie tylko przekazuje nam wiedzę, daje zawód, ale także jest miejscem formacji? Podejrzewam, że nikomu z żyjących nie dane już było uczestniczyć w tak pełnym doświadczeniu *universitas*. Wielu w naszym pokoleniu w ogóle zapewne przeciera oczy ze zdumienia, czytając takie słowa. Zupełnie swobodnie mogę sobie to wyobrazić. Gdy patrzę na własne doświadczenie edukacji uniwersyteckiej, widzę w tych wspomnieniach zarówno coś z naszkicowanego powyżej ideału – choć niezbyt wiele – oraz bardzo dużo z tego, czym uniwersytet stał się współcześnie

Zacznijmy od tego co niepiękne. A zatem od doświadczenia, że studia wyższe to ciąg zajęć niepowiązanych w całość, na których spotykają się przypadkowi wykładowcy i przypadkowi studenci. I obie strony chcą w sobie właściwy sposób te zajęcia zaliczyć, odhaczyć. Student – taki jak ja – łamał sobie głowę w jaki zdobyć konieczną liczbę punktów na

semestr za uczestnictwo w zajęciach, a jednocześnie móc maksymalnie dużo sił przeznaczyć na te z zajęć, które układały się w jakiś klucz formacyjny. Oczywiście nie każdy myślał o formacji, ale wielu z nas myślało, w jaki sposób skupić się na wybranej w ramach studiów specjalizacji, w jaki sposób sensownie powiązać swoją edukacyjną aktywność. Często nie było to łatwe, ponieważ warunek zebranych punktów za obecność i zaliczenie zajęć był bezwzględny dla ukończenia kursów. Można to było załatwić sprytem – jakość zdobywanej wiedzy stanowiła już tylko wypadkową rozmaitych czynników i w zasadzie nikogo nie interesowała.

Rozpraszenie sił w pracy umysłowej i przypadkowość relacji wewnątrz samej uczelni z pewnością były dwiema ważnymi przyczynami prowadzącymi do utraty zainteresowania przez wielu studentów tym co – przynajmniej teoretycznie – uniwersytet mógł im dać ponad wpis w indeksie i w końcu dyplom. W skrajnym przypadku studia oznaczać mogły zatem bezrozumne przechodzenie kolejnych tematów przeglądowych i monograficznych całkowicie bez włączania się w intelektualne tradycje, jakie one reprezentują z właściwym im układem związków, zależności – zarówno teoretycznych, jaki i historycznych. Wykłady, ćwiczenia, zaliczenia i tak co semestr, plus nieco zwinności w załatwianiu spraw administracyjnych, nieco sprytu w perswazji wobec zmęczonych natłokiem obowiązków wykładowców. Czasem to wszystko jeszcze działało się już jako dodatek do podjętego życia zawodowego i było przeżywane niczym niemal zupełnie biurokratyczna formuła uzyskiwania „wykształcenia wyższego”. Treść wiedzy pozostawała zupełnie na boku. Mogę powiedzieć, że ta utrata przez uniwersytet swojego właściwego – integrującego życie – charakteru i mnie kosztowała wiele lat pracy polegającej na lepieniu wiedzy, której strzępy nam przekazano, a której nie nadążaliśmy właściwie przyswajać, bo przecież trzeba zdobyć punkty. Trudno policzyć, ile

sensownych lektur pominąłem wtedy, by wypełnić zobowiązania bezsensowne. Dziś wracam do tych doświadczeń sprzed dziesięciu, piętnastu lat i zastanawiam się czy brak poczucia sensu nie był tym rodzajem formacji, jakiej od uniwersytetu oczekują nowoczesne postacie władzy.

Konieczne jest jedno wyjaśnienie – nie uważam, że należy się uczyć i ćwiczyć jedynie w tym co sprawia przyjemność, ale że rzeczywisty ślad w ludzkiej duszy pozostawia to doświadczenie uniwersyteckie, w którym wytwarzają się związki między ludźmi, w którym wreszcie nie trzeba działać w nieustannym pośpiechu i w którym nie trzeba porzucać rzeczy formacyjnie wiodących dla wątków ostatecznie nieistotnych. Do kwestii przyjemności nauczania jeszcze wypadnie nam wrócić w tym tekście.

Zdaje się, że dekadę po tym jak otrzymałem dyplom, a kilka lat po zawieszeniu mojej typowo akademickiej aktywności i przekształceniu formy aktywności w działania „niezależnego badacza” (independent researcher jak ładnie to określa portal Academia.edu), sytuacja uniwersytetu jest jeszcze gorsza. Informują nas o tym od czasu do czasu teksty badaczy zbuntowanych. Diagnozy stanu dzisiejszego uniwersytetu podsuwa publiczności – także mnie – choćby filozof z Uniwersytetu w Białymstoku, a także zastępca redaktora naczelnego kwartalnika „Kronos”, Piotr Nowak. Pisze on w taki sposób:

Uniwersytet starego typu był miejscem, w którym przeszłość nawiązywała do przyszłości via terażniejszość. Dziś nie jest to potrzebne ani możliwe, ponieważ uniwersytet ma nawiązywać wyłącznie do terażniejszości - głównie do realiów rynku z jego ciasnymi, bo materialnymi, potrzebami. To nie uczeni zarządzają współczesnym uniwersytetem, ale biznes i administracja. W cenie jest uległość i brak pytań, potulność.

A dalej konstatuje:

Twierdę, że uniwersytet starego stylu jest martwy oraz że nie ma sensu galwanizować jego trupa. Przeciwnie. Trzeba pomóc mu zejść z tego świata i w tym proces boloński oraz najnowsza reforma szkolnictwa wyższego mogą wydatnie dopomóc. Myślenie wyprowadziło się poza uniwersyteckie mury, w czym dostrzegam pewną nadzieję.

Czy można się zgodzić z taką rewolucjonistyczną opcją profesora Piotra Nowaka? Czy trzeba pomóc zejść ze świata uniwersytetowi, skoro tak poważnie choruje? Myślę, że to nie jest najlepsze z rozwiązań. Choćby dlatego, że przekonanie o „trupowatości” tej instytucji może okazać się złudzeniem – o czym będzie jeszcze mowa. Uniwersytet trzeba zatem zachować, ponieważ wciąż jest potężną instytucją, być może potężniejszą niż kiedykolwiek. Jego charakter jest jednak zgoła inny niż nawet najciekawszych instytucji i środowisk ze współczesnej republiki intelektualistów. Choć sam mogę powiedzieć, że dla mnie – przed dekadą dwudziestokilkuletniego człowieka doświadczenie wspólnego myślenia (którego szukałem w redakcji „Res Publici Nowej”, a znalazłem w środowisku „Christianitas”) miało kapitalne znaczenie formacyjne, to nie jestem pewien czy mogłoby ono zastąpić to co – pomimo różnych zastrzeżeń – dał mi uniwersytet. Chodzi przede wszystkim o fragmenty wiedzy systematycznej, a także obszary rozumienia i rozumowania w pewnych tradycjach intelektualnych i naukowych. A przecież Alma Mater mogłaby dać o wiele więcej, gdyby była sobą oszczędzając mi sporo wysiłku, który mógł pójść w rozwijanie otrzymanego zakorzenienia. Dodać wypada, że zapisuję te uwagi z pozycji jednak dość nietypowego absolwenta. Nawet w ramach swojego

wydziału, jeśli dobrze pamiętam, byłem jedynym studentem, który wybrał jako specjalizację dziedzinę, która w swoim charakterze była bardziej formacyjna niż pragmatyczna i nie dobrałem do tego żadnej specjalizacji zawodowej. Jaki zawód daje bowiem człowiekowi „historia idei i socjologia wiedzy” – oczywiście zawsze można zostać propagandystą cywilizacji liberalnej, co częściowo odpowiada na pytania o dzisiejsze cele uniwersytetu. Co jednak jeśli ma się inne zamiary?

Przyglądając się sobie w wieku lat dwudziestu mam poczucie, że reprezentowałem niski poziom samoświadomości, społecznej orientacji, czytania i refleksji. A jednak mimo tego stanu, który odbieram jako niedorozwój, wśród chaosu myśli miałem silne przekonanie, że lata uniwersyteckie to jedyna szansa na ukształtowanie samego siebie, czy raczej jedyna możliwość na by dać się uformować i odnaleźć zintegrowany sposób myślenia o świecie, który będzie też koherentny z prawdą o nim. Pamiętam też dobrze, że świadomie niepragmatyczne podejście do studiów było postrzegane w otaczającym mnie środowisku studenckim jako ryzykowne. Za ryzyko uważano wybór, który z góry uważano jako skazujący mnie na “kariere” nauczyciela akademickiego. Innym ryzykiem, z którego nie zdawałem sobie sprawy, była możliwość uformowania mnie przez uniwersytet na funkcjonariusza “systemu”. Temat konieczności uzasadnienia swojego wyboru przez plany zawodowe wracał jak bumerang w rozmowach toczonych na uniwersyteckich korytarzach. Dziś widzę, że poszukiwanie tego uzasadnienia było narzucającą się potrzebą i kluczem dla moich rówieśników jeśli chodzi o próbę zrozumienia wyboru mało praktycznej specjalizacji w ramach uniwersytetu, którego głównym dogmatem stawał się pragmatyzm. Nie bardzo mogli pojąć, o co mi chodzi. Odwołanie do przekonania o konieczności formacji intelektualnej rówieśnicy odbierali z dezaprobatą, czasem ukrywaną

pod płaszczykiem podziwu, jakiego czasem udziela się ludziom nieroztropnym. Można zatem powiedzieć, że chęć kształcenia była pewnym wystąpieniem przeciwko głównemu nurtowi formacji uniwersyteckiej i to na wydziale dalece nie predystynowanym do dawania praktycznego wykształcenia. Chyba że do roli ideologów liberalnego sekularyzmu lub lewicowych grantów na rzecz rewolucji społecznej. Co więcej mogę powiedzieć, że w swoim ryzyku, w tej grze, przegrałem, ponieważ nie zostałem na stałe akademikiem związanym z żadną wyższą uczelnią. A jednak nie żałuję „straconego czasu”, ponieważ prawdziwą stratą czasu jest uniwersytet pragmatyczny.

Jaka jest zatem szansa dla tego „trupa”, który raczej wcale nim nie jest, przynajmniej z perspektywy „władz i zwierzchności”. Są nią ci nauczyciele – tak jest zawsze – którzy nie marnują swojego czasu, ale swoją postawą i dążeniami, pomimo przeszkód, starają się reprezentować „stary uniwersytet”. Ci właśnie profesorowie są tym co piękne i co pozostaje. Mogę tu wymienić nazwiska swoich nauczycieli: prof. Marcina Króla, czy prof. Pawła Śpiewaka. Mogą nas dzisiaj dzielić lata świetlne jeśli chodzi o liczne przekonania dotyczące problemów świata, a jednak jestem przekonany, że ich rozumienie pracy na uniwersytecie tworzyło jakość właściwą „staremu uniwersytetowi”. A przecież takich profesorów jest więcej - w środowisku będzie choćby postać prof. Mieczysława Gogacza - ponieważ idea „starego uniwersytetu” wciąż jest żywa i stanowi drogowskaz dla licznych akademików. Zatem uniwersytet – toczony przez niszczący kryzys lub być może po prostu przeformułowywany wedle oczekiwanych funkcji – na swój sposób może być szkołą życiowego heroizmu a także szkołą cnót i dla mistrzów, i dla uczniów.

Naszej uwagi, jak sędzę wymaga jednak jeszcze pojęcie „starego uniwersytetu”. Bez jego uhistorycznienia pozostaje nam tylko miotanie się w frustracji, jak wobec każdego mitu pozbawionego cielesnych związków charakterystycznych dla fantazji. Wykorzystajmy raz jeszcze uwagi Piotra Nowaka, który tak pisze:

Tymczasem stawka w całym tym zamieszaniu jest naprawdę wysoka: jest nią wolność i władza. Dotychczas właściwą przestrzenią wolności był uniwersytet, który zresztą przez setki lat stopniowo ją tracił na rzecz polityków (myślę tu także o Kościele). Dziś tej wolności jest tyle, co kot napłakał. Wolność została - trzeba to głośno powiedzieć - spieniężona lub wymieniona na inne dobra, na przykład na bardzo przyjemne zajęcie, jakim jest turystyka naukowa.

Uważam, że właśnie Piotr Nowak odwołuje się do pewnego rodzaju uniwersyteckiego mitu, który określiłbym jako w swoich źródłach postprotestancki i mieszczański. Równocześnie sędzę, że jest on swoistą ahistoryczną projekcją. Uniwersytet całkowicie wolny to antyinstytucjonalna utopia reformowanej eschatologii, w której Kościół katolicki, a potem – szerzej – instytucje społeczne stały się znakiem grzechu obecnego w świecie. Z tym przekonaniem rozmaicie sobie radzono zwykle jednak rozmaitymi drogami dochodzą do praktycznych wniosków, że doczesne porządki nie są w stanie zapośredniczyć dobra, a wolność zawsze pozostaje w sprzeczności w porządkami społecznymi. Także zaprezentowana logika „stopniowej utraty wolności” ukrywa przed odbiorcą tekstu specyficzną historiozofię, w której coraz bardziej oddalamy się od mitu – od „złotego wieku”, tak jak analogicznie tradycja (będąca przecież par excellence rozumnością wiary i społeczeństwa) miała oddalać

chrześcijan od rzeczywistego rozpoznania znaków zbawienia i „idealnych” pierwotnych form. Jak potraktować tę opinię wobec faktu, że przecież od samego początku uniwersytet był powiązany z władzą – kościelną i świecką. Na tym też polegała jego siła – zachowując pewną autonomię tworzył formuły stanowiące ramy życia społecznego w rozmaitych zakresach i okresach – religijnej, prawnej itd. Działo się to jednak w czasach, gdy wierzono, że budowanie cywilizacji to czynienie świata bardziej sprawiedliwym, sakramenty zaś powszechnie rozpoznawano jako widzialne znaki Bożej obecności, swoiste instytucje zbawienia.

Chrześcijański uniwersytet, a zatem ten właściwy „stary uniwersytet”, którego raczej nie ma na myśli Piotr Nowak, ganiąc Kościół dławiący (razem z politykami) jakąś rzekomą pierwotną wolność tej instytucji, był w swoim szczytowym okresie rozwoju jednym ze źródeł integralności cywilizacji katolickiej i to nawet w sytuacji, gdy dwa ośrodki tej cywilizacji miały swoje akademie i pozostawały w dość intensywnym konflikcie politycznym. Uniwersytet dlatego miał znaczenie, że posiadał władzę formowania ludzi i formowania całej cywilizacji – to coś więcej niż republika intelektualistów, którzy przerzucają się tekstami, a w nikłym stopniu zajmują się – mówiąc trywialnie – kwestią „jak żyć”. Ta zależność istniała i w kolejnych wiekach – uniwersytet kształcił prawników i rzesze innych humanistów, którzy znajdowali zatrudnienie w rozbudowującej się infrastrukturze nowoczesności. Władza chciała mieć uniwersytety i miała je. W tym kluczu daje się także zrozumieć przemiany dzisiejszego uniwersytetu i jego ukierunkowanie na zaspokajanie potrzeb generowanych przez współczesne ośrodki władzy – nie tylko państwowe, w niewielkim stopniu kościelne, a w znacznej mierze kapitałowe i ideologiczne. Mityczny uniwersytet prof. Nowaka najbardziej przypomina XIX i XX wieczną mieszczańską uczelnię

liberalną, o której w swoim wykładzie w Ratyzbonie pisał papież Benedykt XVI. I chociaż ten uniwersytet zachował jeszcze wydziały teologiczne, to równocześnie jego zadaniem była formacja dobrego, liberalnego (w sensie właściwym tamtych epokom) mieszczanina, członka elit politycznych, kulturalnych, w nikłym już stopniu elity moralnej i religijnej, chyba, że sprowadzimy tę moralność i religijność do mieszczańskiej etykiety. Zresztą w słowach Benedykta XVI rodzaj pęknięcia tej instytucji dobrze widać. Zatem już „stary uniwersytet” mieszczan zawierał w sobie te elementy rozkładu, które dziś oglądany w formie dojrzałej. Jego „quasi-scholastyczna” bujność intelektualna była społecznie konwencjonalna, indywidualistyczna formacyjnie i w sumie pragmatyczna, użyteczna. Wszystkie te elementy odpowiadały formacji cywilizacyjnej doby postromantycznej, w której intelektualna „bujność” stawiana była wyżej nad poszukiwanie prawdy zarówno w rozważaniach teoretycznych, jak i formacji ludzkiej. Stanowiła przecież reprezentację irracjonalizmu nauk humanistycznych i teologii, która utrzymuje się - choć w nieco inny sposób do dziś.

Czy zatem o zachowywanie, o odbudowywanie takiego właśnie uniwersytetu powinno nam chodzić? Oczywiście miałyby on swoje plusy, ponieważ pozwalałby jednostkom na wychodzenie z konwencji pragmatycznej w edukacji, konwencji, gdzie już nawet nie liczy się „bujność” kultury, ale zwykłe przyuczenie, a odniesienie dla formacji stanowi budowanie poczucia bycia przydatnym lub nieprzydatnym, jako kryterium człowieczeństwa. Uniwersytet zawsze stanowił instytucję formacyjną pozostającą w powiązaniu z panującym paradygmatem władzy. Ponieważ nowoczesny paradygmat władzy jest fundamentalnie nieludzki takie też są potrzeby uniwersytetu. Jednak dążenie do odbudowania uniwersytetu mieszczańskiego/postprotestanckiego jest na dłuższą metę anachroniczny, bowiem przeciwieństwem uniwersytetu

pragmatycznego nie może być uniwersytet pięknoduchów. Celem uniwersytetu nie jest czysta wolność – jakaś zeświecczona forma Królestwa Bożego na ziemi, ale budowanie cywilizacji. „Stary uniwersytet” budował cywilizację chrześcijańską, dostarczał jej intelektualnego modus vivendi a ludziom pracującym na tej niwie odpowiednich sprawności, czyli cnót oraz formuł, czyli wiedzy o świecie. Nie da tego studentom ani uniwersytet pięknoduchów rekonstruujący niczym muzeum uniwersytet mieszczański, uniwersytet świata, który nieodwracalnie przeminął, ani też technokratyczny uniwersytet ukształtowany według procesu bolońskiego, w którym bardziej od samych treści (poza treściami ideologicznie wrażliwymi) ważne jest wtłaczanie ludzi w warunki korporacyjnej biurokracji, podległości i poczucia braku ludzkiej godności. Ta przemiana – dokonująca się od lat 60. – uniwersytetu Ratzingera i Nowaka na uniwersytet technokratów jest znaczna, dlatego budzi opory pięknoduchów, ale nie tak znaczna, by pobudzić ich do działania w tym sprzeciwie. Ostatecznie bowiem i jedni i drudzy działają i myślą w paradygmacie nowoczesnego oddzielenia intelektu i życiowych sprawności, cnót a zatem nie wiedzą jak mieliby się rzeczywistej władzy oprzeć, ani w jaki sposób budować relacje nie będące relacjami całkowitej zależności – czymś w rodzaju ponowoczesnej, intelektualnej zasady cuius regio eius religio. Ci zaś którzy jak radykalni protestanci w dawnych wiekach odmawiają władzy prawa do istnienia właściwie nie wiedzą po co miałyby w ogóle jeszcze uniwersytet istnieć, ponieważ chodzi im tylko o indywidualną strategię zbawienia (lub zabawienia), być może jakiś rodzaj władzy jaki mogą mieć nad własnym „intelektualnym kołem”. Władza i filozofia lubią się bowiem nawzajem kamuflować by nie zdradzić, że chodzi o indywidualny romantyczny sens życia. Tak obie skrajności popadają w rodzaj konstantynizmu ducha polegającego przede wszystkim na przyjmowaniu zależności prawdy od władzy. Ta ostatnia może być publiczna, oficjalna, ale może się też chować w pożądaniach szanowanych w cywilizacji liberalnej

jako przyjemności wyższe (Mill).

Jak zatem może być odpowiedź na ten kryzys? Trudno wyobrazić sobie odpowiedź uniwersalną. Nie ma władzy, która mogłaby przeprowadzić jakąkolwiek postulowaną reformę, dzisiejsza władza jest władzą rzeczywistą i przeprowadza swój pragmatyczny projekt skutecznie. Wydaje się, że odpowiedzi powinny być różnorakie. Także te, które podaje Piotr Nowak, czyli tworzenie „rezerwatów” intelektualnych. Jednak katolickie enklawy powinny zachować sobie właściwy stosunek do nowoczesności, który musi także wyrażać się w formacji ludzkiej. Ponowoczesny charakter nowoczesności – czyli lokalne słabnięcie władzy przy ogólnym wzroście jej natężenia spowodowane skomplikowaniem systemu społecznego, także w obszarze uniwersytetu – powinno być wykorzystywane z pełną premedytacją do odbudowywania cywilizacji chrześcijańskiej czyli formowania ludzi na wolnych, rozumnych, ale i zakorzenionych w logosie. Choć projekt ten wydaje się elitarny, to jednak globalnie może stanowić (i stanowi) znaczący ruch formacyjny – już przez sam fakt umiejscowienia w jednej z największych struktur światowej cywilizacji. To znaczenie formacyjne uniwersytetu wynika z wielu czynników, z których nie najmniej ważnym jest biograficzno-czasowe umiejscowienie okresu studiów. Z perspektywy cywilizacji chrześcijańskiej zasadnicze jest jednak tworzenie nowych uniwersytetów, szkół przyklasztornych w pobliżu przyjmujących tradycyjną katolicką naukę zgromadzeń, wreszcie niezależnych instytutów akademickich, które w przybliżeniu realizowałyby postulaty formy uniwersytetu Newmana-McInyre’a, czyli zachowywały ciągłość katolickiego uniwersytetu, prawdziwego „starego uniwersytetu”, który nie udaje, że nie formuje ludzi robiąc to niejako bez ich wiedzy, ale który z każdego z nas chciałby wydobyć człowieka.

Cytaty z Piotr Nowak, *Hodowanie troglodytów* [Rzeczpospolita, 29.06.2012 r.]

Tomasz Rowiński

Artykuł pochodzi z Teologii Politycznej Co Tydzień nr 31 pt. Na co nam Uniwersytet?